

HAŁAS.

W dużym pokoju, płomień lampki nocnej migotał sennie w takt głośniego chrapania, rozlegającego się w ciszy nocnej.

Przed żarzącym się ogniskiem pies leżał, dotykając niemal łapami śpiącego kota i wtórował swym głębokim oddechem jego mruczeniu.

Od czasu do czasu, na łóżku, ukrytem w głębi alkowy, materac zaskrzypiał pod nagłym poruszeniem się uspiętej pary małżeńskiej, zmiażdżonej zmęczeniem.

Ludzie i zwierzęta, po ciężkiej pracy odpoczywali, pogrążeni w śnie i niepamięci.

Nagle nieuchwytny hałas przerwał monotonię nocy. Kot ziewnął. Pies zastrzygł uchem, a płomień knota, przesiąkniętego oliwą, strzelił ku belkom.

Tylko rozpostarta ręka gospodarza domu, znacząc się ciemną plamą na bieli prześcieradła, nie poruszyła się.

Hałas ponowił się. Skąd pochodził? Z pod stołu? Od skrzyni z mąką? Od beczki z solą? Jakież ogryzanie, skrobanie, drapanie niespokojne. Hałas, niepodobny ani do szmeru myszy, wymykającej się ze swej norki, ani do szelestu nocnego ptaka, muskającego skrzydłem zamknięte okiennice lub chrzęstu zabłąkanego łisa, szukającego szpary w murze dla wycieczki na hulanke. Hałas ten zbliżony był raczej do dźwięku miedzi, czy blachy, albo brzęku fajansu lub szkła. Tak dziwny przytem, że kot przeciągnął się, nastawivszy sierść od głowy do łędźwi, a pies otworzył oko i prychnął. Wyprostował łapy, wsparł się na paznogiach, podciągnął leniwie tył ku brzuchowi i zrobił kilka kroków cicho, obwąchując ciepłe tafle posadzki, gorący popiół oraz śpiącego ponownie kota.

Znowu ten sam hałas.

Pies odskoczył wtył, pokazując żółte zęby z pod podniesionych warg, szczeknął zlekka.

— Cicho! — skarcił go gospodarz przez sen.

Pies, z wygiętym grzbietem podreptał w stronę kija, sterczącego w kącie pokoju i nagle cofnął się od stojącego przy ścianie kredensu, sapiąc głośno. Jednocześnie przysiadł na tylnych łapach, bijąc podłogę oraz raz po raz ogonem.

Hałas ucichł tymczasem.

Pies węszył przez chwilę w powietrzu, otworzył pysk i zawył żałośnie. Kot drgnął i spuściwszy ogon, zaczął prychnać.

Jedno i drugie zwierzę teraz, z wygiętym ze strachu grzbietem, robiło w pokoju cichy i bezładny zgiełk.

Jan Le Clech, fornał w Pergarvan, prze wrócił się na wznak na posłaniu i rzucił rękoma w powietrzu. Nie bacząc na to

zwierzęta zachowywały się w dalszym ciągu niespokojnie.

— Co się stało? — zapytał drżący głos z głębi alkowy.

Jan Le Clech usiadł na łóżku i z szyją wyciągniętą w stronę zwierząt, mruknął:

— Bóg z tobą, Noela! Czy ja wiem?

— Cicho tam! — zawołał, machając ręką ku ślepiom psa i kota, błyszczącym zdaleka.

Usłyszawszy, że pies wrócił na swoje miejsce, niezdecydowanym ruchem upuścił na ziemię stare pantofle, które trzymał w ręku, walcząc między zaniepokojeniem a nieprzewyciężonym lenistwem.

— Na śmierć wyje... Ktoś umrze... bełkotała Noela.

Jan drgnął.

— Nie -- odparł po chwili — to kobold tańczy na wydmiu.

Z otwartymi oczami, leżąc, przyglądali się jakiś czas lampce nocnej, której światło walczyło z bladym światem, zagładającym przez szpary okiennic, poczem sen zmorzył ich znowu.

Ranek, podczas kiedy Jan zaciskał pas rzemieenny wokół bioder, żona jego, wkładając siatkę na głowę odezwała się stanowczym tonem:

— Ktoś umrze dzisiaj!... ani chybi!...

Otworzyli drzwi. Ostry wiatr wtargnął wraz z światłem do pokoju. Piaszczysta wydma bielila się szronem w oddali.

Jan, przeżegnawszy się, zapiał kamizelkę, poprawił czapkę i wyszedł. Wspomnienie nocy dręczyło go. Pies szczeknął. Jan poglądził go machinalnie po głowie i zwierzę zwiesivszy język pomknęło ku stadiu kruków.

Farmer poszedł na podwórze i z czolem spuszczoneм zabrał się do roboty, bez zapalu.

Podczas południowego posiłku, jedząc żur z czarnego żyta uderzał uporczywie ręką o stół, aż żona chwyciła go za ramię.

— Przestań! Denerwujesz mnie...

Wzruszył ramionami, nie odpowiadając. Odrącił tylko talerz tak gwałtownie, że pękł na dwoje.

Zmieszany, pokazując żonie szkodę, szepnął:

„Boże, bądź miłościw!...

Poczem, wstał od stołu i wyszedł, zgarbiony, z rękoma na kolanach.

— Pod twoją obronę... — jęknęła Noela ze złożonymi do modlitwy dłońmi.

Ku wieczorowi, Jan, mijając drzwi domu krokiem ociężałym, bąknął niewyraźnie:

— Idę po worek owsa...

Noela, dotknawszy palcami warg, przesłała mu pocałunek w milczeniu.

W godzinę potem, znalazła go wiszącego w stodole, z szyją w pętli sznura.

zwieszającego się z pułapu i workiem owsa pod nogami.. Drabina ze złamanym szczeblem leżała obok wpoprzek wiązki słomy.

Noela uklekała przy trupie i ujawszy w rękę jeden z chodaków nieboszczyka ucałowała go tkliwie, poczem zerwawszy się na równe nogi, pobiegła lotem strzały ku pobliskiej wiosce, krzycząc wniebogłosy:

— Kobold!... Kobold!...

Nazajutrz zrana przyprowadzono ją do domu zziębniętą, nawpół nieprzytomną, z oczami z orbit wysadzonemi. Krewni, kumowie i znajomi nieboszczyka tłoczyli się już w pokoju, macąc jego ciszę gwarem.

Wdowa stanęła przy zwłokach, patrząc szklanym wzrokiem na męża i trzęsąc głową powtarzała bezdźwięcznym, monotonym głosem:

„Pies wył na śmierć w nocy...“ i t. d.

Nie słyszała słów pociechy z ust pochylonego nad nią kapłana, pytał burmistrza, odpowiedzi żandarmów, dowodzących śmierci z wypadku. „Nieboszczyk zrobił niefortunny ruch... „drabina była nadpróchniała“... Szcebel złamał się... „Farmer padając, zawadził głową o pętlę sznura, zwisającego z pułapu“... Sprawa prosta“ — meldował starszy.

Okliwy zapach uderzył nagle nozdrza zebranych. Burmistrz podszedł do okna i otworzył je naoścież. Pies jednocześnie zawył przeciągle. Ludzie strwożeni, mimo biały dzień, zwarli się w gromadkę, a podoficer żandarmerji położył rękę na futerale rewolweru.

Pies zbliwyszy się do kredensu wył bezustannie.

Jeden ze śmielszych widzów szarpnął drzwi mebla. Pies wskoczył doń jednym susem, węsząc, tłukąc naczyńia i skomląc.

Starszy żandarm, śledzący zwierzę uważnie, wyciągnął je po chwili za obrozę z kredensu, sam zaś wydobył dużą blaszaną puszkę z nawpół uchyloną przez psa pokrywą. Burmistrz nachylił się nad nią, zamierzając zajrzeć do środka, cofnął się jednakże natychmiast z odrazą: na dnie naczyńia bowiem leżał nieżywy i dobrze już cuchnący szczur.

— Do diabła! — zaklął starszy żandarm, rzucając puszkę — Piszemy protokół, panowie!

Niebawem krewni nieboszczyka podpisali urzędowy akt zejścia, podczas kiedy Noela, obojętna na wszystko, trzęsąc głową, zawodziła bezdźwięcznym głosem w kółko:

„Pies wył na śmierć w nocy“...

„Kobold tańczył po wydmiu“...

„Ktoś musiał umrzeć... Mój... o zmierzchu... zmarł...“

Tłum. Jotsaw.



Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

ROK VI.

Niedziela, dnia 6 października 1929 r.

Nr. 40.

„Grube ryby” w Teatrze Kameralnym.



W dniu 1 b. m. Teatr Kameralny w Łodzi wystąpił już z trzecią z rzędu premierą w sezonie bieżącym, wystawiając „Grube ryby“ — komedię M. Bałuckiego z występem gościnnym mistrza sceny polskiej, niezrównanego artysty p. Mieczysława Frenkla, który w popisowej roli Wistowskiego kapitałną swą grą porывwał i czarował widzów.

Na zdjęciu powyższem widzimy fragment jednego z aktów komedii wraz z grupą artystów z p. Mieczysławem Frenklem na czele.

Fot. A. Meyer.

TEATRALJA.

Plany i zamiary. — Premjery warszawskie. — Kryzys teatralny we Lwowie. — Drobiazgi zza kulis.

Z obowiązku informacyjnego, którego cele i potrzebę zaznaczyliśmy już w kronice poprzedniej, notujemy dziś, w dalszym ciągu „planów i zamiarów“ na sezon przyszły dyrekcji teatrów, zamierzenia teatrów Szyfmanowskich, t. j. Polskiego i Małego. Ze względu na wywczasowy czynnik miarodajnego, t. j. samego dyrektora Szyfmana oraz z uwagi na ogromne powodzenie granych obecnie w wymienionych teatrach sztuk, informacje nasze ograniczyć się narazie muszą do najbliższych tylko tygodni, w których wystawione będą: w Polskim — „Pan Topaze“ — M. Pagnola, zaś w Małym — „Olimpia“ — Fr. Molnara. Z pośród zmian personalnych najważniejszą jest chyba — exodus Malickiej, która, jak wiadomo, zażywa obecnie rozkoszy miodowych miesięcy. Emplou p. Malickiej-Sawanowej w teatrach Szyfmanowskich w sezonie bieżącym obejmą częściowo dobre masze znajome pp. Lubieńska i Jarkowska, którym życzymy gorąco prawdziwych sukcesów w tem niełatwym zadaniu. Poza tem ubył z zespołu reżyser Leon Schiller, która to strata będzie naprawdę niepowetowaną, p. A. Jasińska, aktorka utalentowana i doświadczona, oraz parę osób z młodszej generacji. Zaangażowani zostali m. in. p. Mierzejewski, który definitywnie porzuca operetkę dla komedji i p. Karbowski, b. dyrektor teatru polskiego w Katowicach. Funkcje reżyserskie sprawować będą pp. Borowski, Leszczyński, Stanisławski i — co stanowi niejaka sensację — dyrektor Szyfman.

Organizuje się obecnie w stolicy stała operetka „reprezentacyjna“, na której zamiary i poziom rzucają dużo światła wynurzenia jednego z współdyrektorów tej imprezy, p. Wacława Julicza. Należy zacząć od tego, że operetka „reprezentacyjna“ jest finansowana przez osoby bardzo zasobne w kapitały, a więc krach gotówkowy (przynajmniej narazie) nietylko jej nie grozi, lecz przeciwnie teatr ten, mieszczący się w lokalu b. kina „Rococo“, zamierza oświetlić swym prawdziwie reprezentacyjnym przepychem. W zespole swym operetka liczyć będzie m. in. tak wybitne siły wokalne i aktorskie, jak p. Elna Gistedt, H. Rapacka, Orska, Gustaw Chorjani, Redo, Piłarski (z Krakowa), że wymienimy tu tylko nazwiska najbardziej znane. Co do zamierzeń repertuarowych, na pierwszy ogień ma pójść niezadługo najnowsza operetka Kolmana — „Księżniczka Chicago“, później Stolza — „Jedna, jedyna noc“, „Rose-Marie“ — Frimmla. „Złota Gwiazda“ — dyr. Julicza i in. Przedstawienia dawane będą, wzo-rem Zachodu, dwukrotnie w ciągu wieczoru; każde trwać ma nie dłużej jak dwie i pół godziny, z jedną 10-minutową przerwą. Dyrektorem administracyjnym „operetki reprezentacyjnej“, która, miejmy nadzieję, nie podzieli smutnego losu swych różniamiennych poprzedniczek, jest p. Janusz Srebrzycki.



W dniach od 6 do 12-go października r. b. Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej organizuje Tydzień Propagandy i uświadamiania ludności o niebezpieczeństwie gazów bojowych. Powyżej widzimy naukę stosowania i obchodzenia się z maską przeciwgazową.

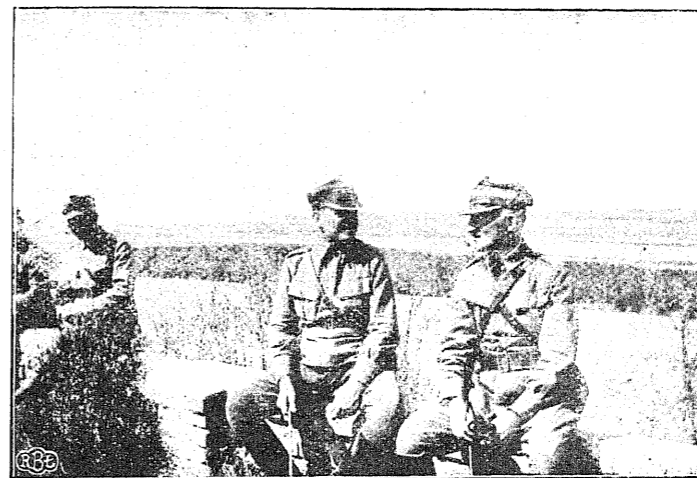
Opera Warszawska wystawiła w tych dniach wznowione w końcu ub. sezonu „Wesele Figara“ pod osobistą dykcją p. Sternicza, który zaprezentował się w ten sposób publiczności warszawskiej w charakterze kapelmistrza. A podkreślić trzeba, że zaprezentował się ze strony najlepszej, trzymając mocno w kierowniczej dłoni cały zespół wykonawczy, i — co najważniejsze — dobywając z partytury orkiestrowej wszystkich wdzięków i uroków mozartowskiego stylu. Soliści, z pp. Michałowskim, Karwowską, Olgina, Romejką i Czapską na czele, na wysokości zadania.

Teatr Mały wystawia z dużym powodzeniem angielską komedję F. Lonsdale'a (autora „Kokot z towarzystwa“) p. t. „Koniec p. Cheyney“. Jest to historyjka arystokratyczno - kryminalistyczna, miewająca wcale odważnie bardzo liczne i poważne grzechy t. zw. wyższych sfer społecznych. Fabuła odznacza się pomysłowością i oryginalnością, a wprowadzenie szajki złodziejskiej, przebranej za osoby z „towarzystwa“ w mury arystokratycznej rezydencji musi być uznane za chwyt scenicz-

ny, świetnie trzymający na uwierzy zainteresowanie widzów. Kulminacyjnym punktem komedji jest scena konfrontacji świata złodziejszaków i świata gentlemanów, której przebieg kieruje nasze sympatje raczej w stronę... tych pierwszych. Okazuje się irafność przysłowia o djable, który jest mniej czarny, niż go malują, natomiast wytworne panie i dzentelmeńscy panowie z niczem nie zdają się przypuszczać ludzi, jako tako przyzwoitych, wyjąwszy nieliczne od tej reguły odstępstwa. Podobnie jak się to ma w „Kokotach z towarzystwa“ — „Koniec panu Cheyney“, jako całość, jest jak gdyby tylko tłem dla sceny kulminacyjnej, w której wesoło i żywo strzelają race groteskowej nieco satyry autora. W tej nowej komedji Lonsdale'a znalazła dla siebie szerokie pole do popisu młoda a utalentowana aktorka p. Romanówna w roli „uczciwej złodziejki“ (p. Cheyney), zaś obok niej pp. Grabowski, Mierzejewski, Fritsche, Shubicka i Szubert stworzyli interesującą galerję figur z pośród dwóch stawionych sobie naprzeciw przez autora światów.

Delta.

Rapsodja wśród łąk i pól..



Wśród łąk, pól i łąk polskich rozległa się potężnym echem pieśń rycerskiej zaprawy. To oficerowie 10-ej dywizji piechoty stacjonowanej w Łodzi odbywali żmudne i ciężkie, lecz jak doniosłe w swem założeniu, letnie manewry wojskowe. Na ukwieconych przestrzeniach rysowały się sylwetki szarych mundurów i połyskiwała błyszcząca stal. Zamieszczone zdjęcia ilustrują dokładnie pracę armji w polu. Od strony lewej widzimy dowódcę 10 dywizji generała Olszynę-Wilczyńskiego i zastępcę dowódcy pułk. Franka po odbyciu ćwiczeń, na prawo zaś patrol sanitarny z porucznikiem Rakowskim, naczelnym lekarzem 30 p. p.



Młody i rozkosznym zdawał się być zasłużony odpoczynek w cieniu liściastych drzew po uciążliwych marszach i gonitwach. Powyżej widzimy od strony lewej dowódcę 30 pułku piechoty płk. Pereswiet-Soltana zażywającego wypoczynku po „zajęciu“ miasta obsadzonego przez „nieprzyjaciela“, od strony zaś prawej odpoczynek w lesie po stoczonych bitwach.



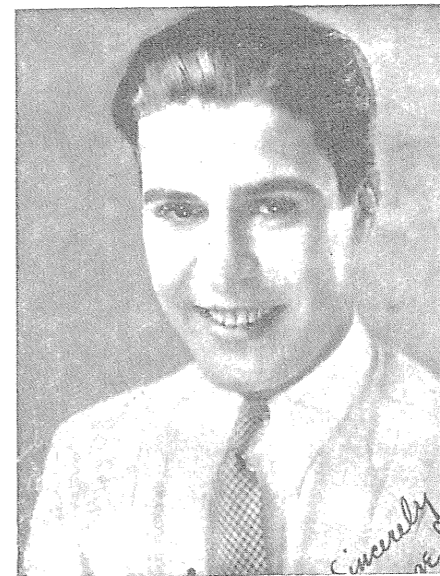
Niezwykle wiele energii pochłaniają wszelkie przygotowania do ataków. Widzimy na zdjęciu od strony lewej jak pracuje dowództwo baonu w czasie ataku na miasto zajęte przez „nieprzyjaciela“. Zdjęcie po stronie prawej przedstawia grupę oficerów rezerwy 30 p. p. po powrocie z ćwiczeń na miejsca postoju.



William Fox, założyciel i prezes jednej z największych amerykańskich wytwórni filmowych.



Jerzy Kobusz i Leszek Owron w jednej z gwałtownych scen nowego wielkiego filmu polskiego p. n. „Z dnia na dzień” reżys. Józefa Lejtesa.



George Lewis w filmie „Życie studenckie”.



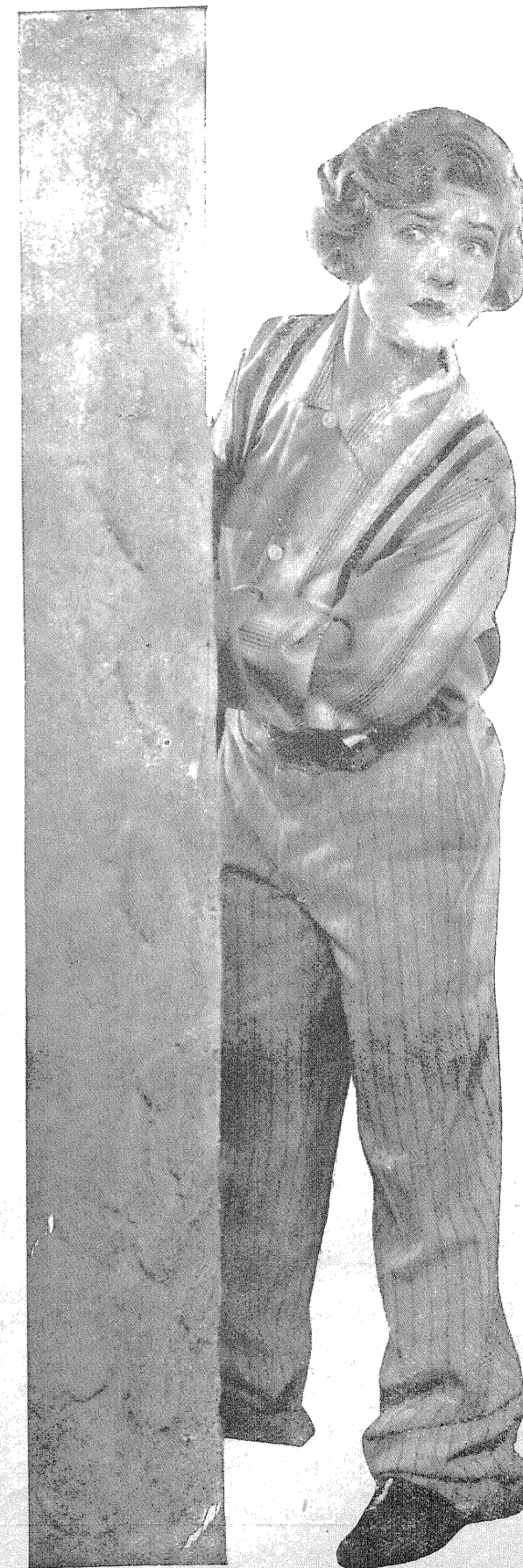
Trening artystki filmowej.



Liana Haid i Curt Vesperman grają główne role w filmie „Królowa jego serca”.



Rex Bell cowboy ekranu.



Urocza artystka komediowa, Laura La Plante w filmach „Strzeżcie się wdów” i „Dziewczę z temperamentem” występuje po raz ostatni jako blondynka.



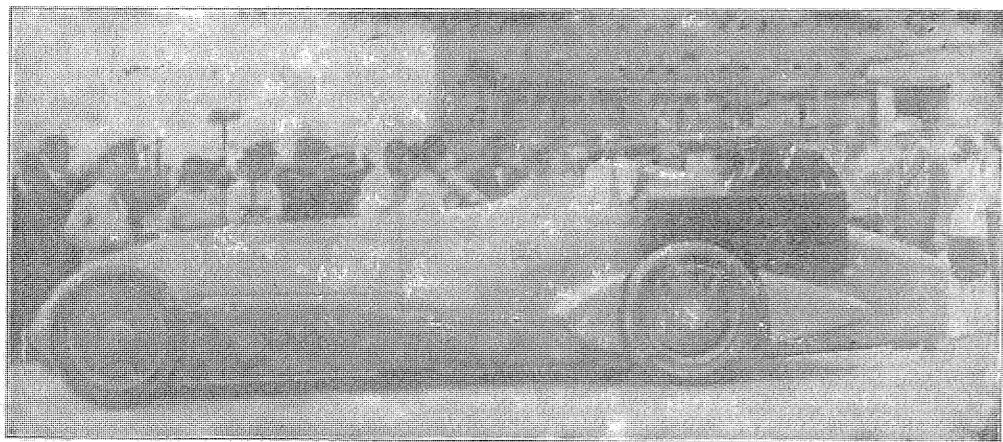
Barry Nerton w filmie „Cztery diablów”.

George O'Brien, bohater filmu „Na froncie nic nowego”.

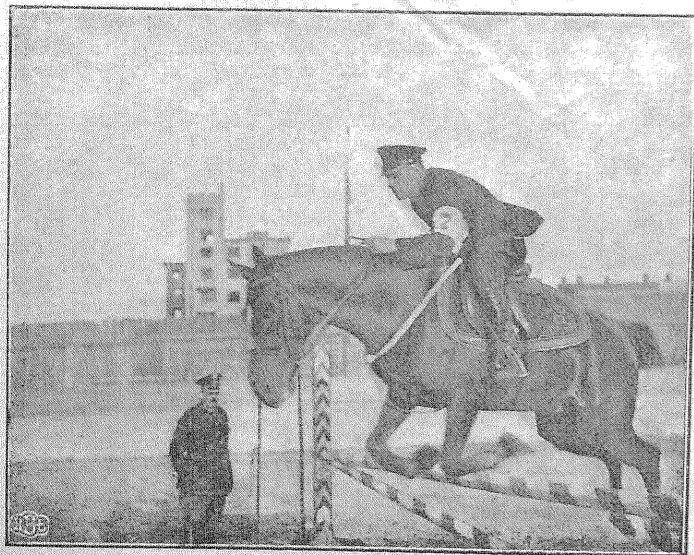
Iwan Linow, artysta filmowy wytwórni Foxa.



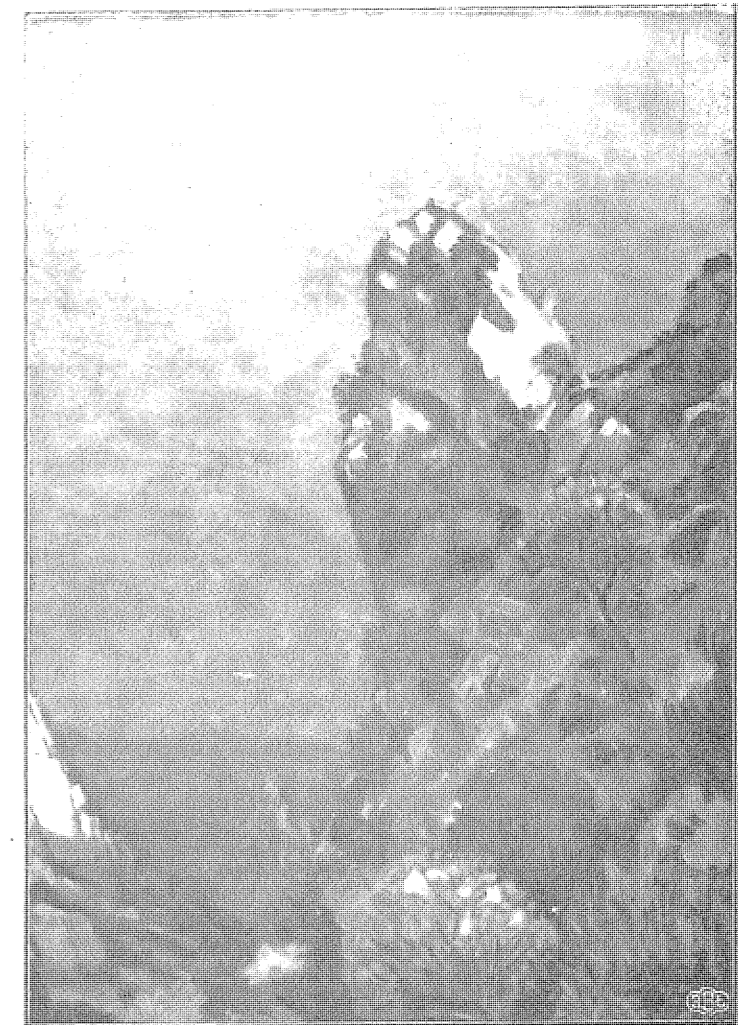
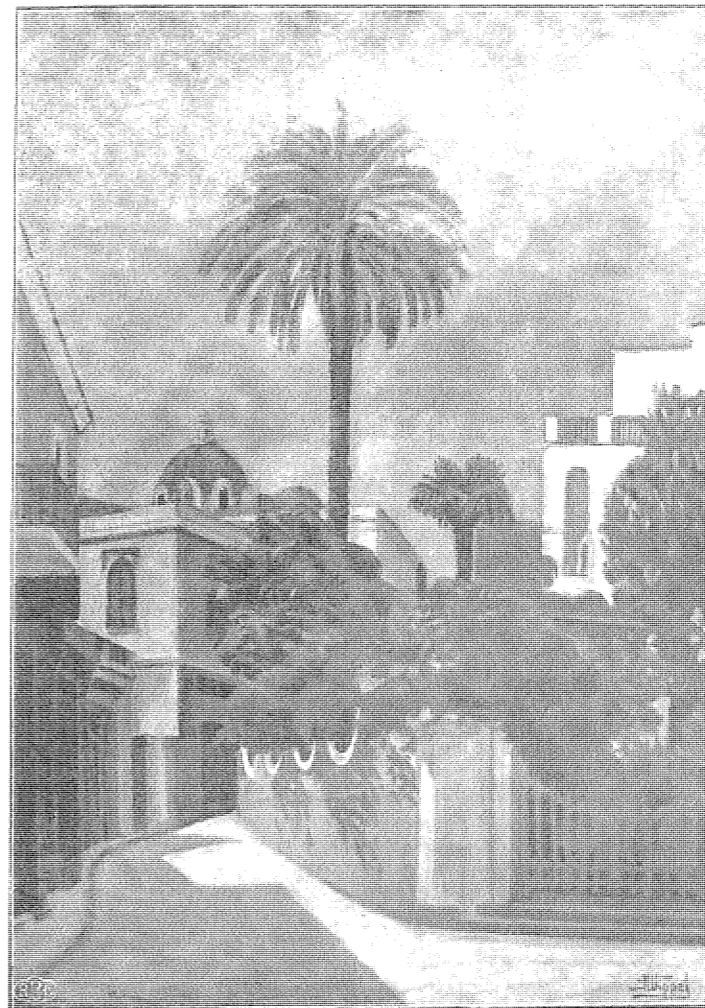
Z ostatnich zawodów wszechpolskich Policji Państwowej w Królewskiej Hucie. Dwie reprezentacje piłkarskie.



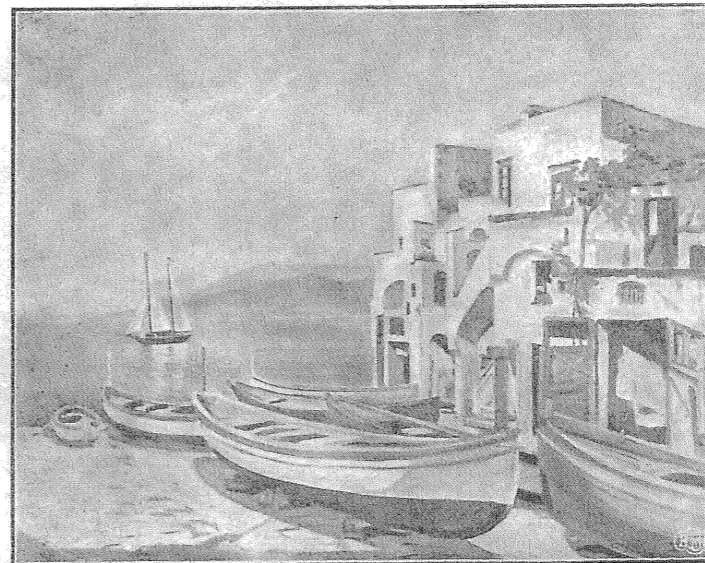
Mjr Campbell, rekordzista światowy, ze swą maszyną.



W dniu 29 ub. m. na obszernym boisku w Helenowie odbyły się popisy i zawody hipiczne Państwowej Policji konnej. W popisach zaprodukowano ujeżdżanie koni, turniej władania bronią oraz wspaniałe kadryl, który budził zachwyt, a niezwykła sprawność wykonawców wprowadziła w zdumienie widzów. Na zdjęciach powyższych widzimy od strony lewej skok przez barjerę, na prawo zaś efektowny moment zwyciężania przeszkody. F. H. A. Meyer.

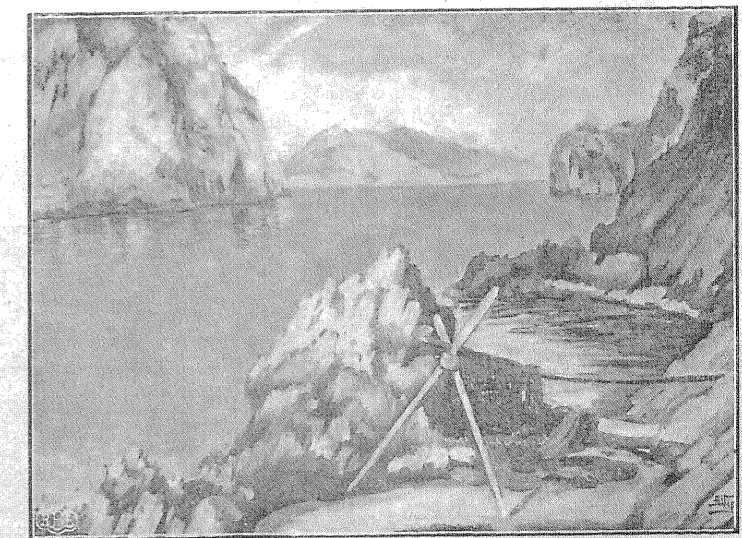


Znany w kołach kulturalnych Łodzi utalentowany artysta-malarz, p. Antoni Wippel, powróciwszy do naszego miasta po długim pobycie we Włoszech, otworzył w Złotej sali Grand-Hotelu dnia 29 ub. m. wystawę swych prac, na całość której składają się m. in. prace ilustrujące piękny krajobraz włoski. Widziane powyżej reprodukcje wyobrażają od strony lewej „Corso Emanuela na Capri”, na prawo zaś skałę „Mnich” również na Capri.



„Grande Marina” na Capri.

A. T. Wippel



„Cisza w zatoce”.

A. T. Wippel.

Kiedy miłość nas opęta.

Ktoś wskazał palcem podobiznę w gazetce, rozłożonej na stole.

Kliska, źle odbita, zeszcpecila rysy kobiety, o której samobójstwie dziennik donosił. Była to przyjaciółka słynnego kryminalisty, straconego zrana. Nie chciała przeżyć go.

— Jak można odbierać sobie życie dla zbrodniarza! — rozległ się oburzony głos. — Niepodobieństwem jest przecież, nie mając szacunku dla niego! — zawyroko- wał ktoś kategorycznie.

— Inaczej bowiem, przypominilibyśmy zwierzęta... — zaśpiewała młoda osóбка, wydobywając lusterko z torebki.

— Byłoby to wbrew wyższej naturze ludzkiej, człowieczeństwu!... — krzyżo- wały się wykrzykniki.

Skoro już każdy z obecnych wtrącił swoje trzy grosze, siwowłosa staruszka, przysłuchująca się z pobłażliwym uśmiechem na ustach wymianie zdań, odezwała się swym cichym i łagodnym głosem, kiwa- jąc z zamyśleniem głową

— Kochająca kobieta drwi sobie z tego, że uczucie jej jest wbrew wyższej natu- rze ludzkiej, wbrew człowieczeństwu... Nie ją nie obchodzi!... — Nie dba nawet o życie... — dodała ciszej jeszcze...

W chwili, kiedy to mówiła, wysoka da- ma o smutnych oczach, nie biorąc udziału w rozmowie, wstała i lekkim krokiem ga- zeli wyszła z pokoju.

Staruszka wówczas odezwała się zno- wu tonem poufnym:

— Ta naprzykład, oplakuje mężczyznę, który sześć razy był mordercą! Spotkałam się z nią przed laty w jednym z najmo- dziejszych południowo - zachodnich miejsc kąpielowych. Była to zachwycająca mło- dziutka panienska, zaręczona od niedawna z księciem B..., cudzoziemcem niewiade- mego pochodzenia, pięknym jak Apollo. Mnie osobiście wydawał się wielce niepo- kojającym; wzrok jego budził pewnego ro- dzaju trwogę w mojej duszy. Uroda jego miała coś grobowego w sobie. Skąd przy- bywał? Nikt nie wiedział. Ludzie jed- nak, olśnieni majątkiem i niezwykle kla- sycznością rysów księcia B., nie wnikalі głębiej w jego życie.

Naręczona uwielbiała go.

Księżę kazał wybudować sobie na wy- erzeżu, w miejscu oddalonym i dzikiem niezwykle, dziwny dom o siedmiu naroż- nikach, zaopatrzonych w wąskie okienka, które pograżały pewnie wnętrza budynku w pewnym rodzaju półmrok. Ekscentrycz- ny ten i brzydki gmach intrygował usta- wicznie gości kąpielowych, przygląda- jących mu się z plaży.

Pewnego wieczora, kiedy narzeczeni rozstali się przed chwilą i Maud, wróciw- szy do ogrodu, wpatrywała się w słońce, nakształt ogniście czerwonego wachlarza rozpościerające się po tafli morskiej, głos za jej plecami szepnął:

— Chciałbym z panią pomówić, jasnie panienko.

— Zdumiona odwróciła się szybko i po- znała marszałka dworu księcia.

— Wybacz, jasnie panienko — odezwał się bardzo wzruszony — ale ja muszę o- strzec panią... Nie trzeba wychodzić za- maż za księcia!

Maud, spojrzawszy mu bystro w oczy, odparła ze wzgardą:

— Nie pytałam pana o radę...

— Ależ pani nie wie nic o nim! — nale- gał tonem błagalnym, — czyż jego przesz- łość nie budzi trwogi w pani duszy? Czy wiadomo pani, co kryje w sobie ten dziw- ny, nieproporcjonalny dom? Wszak wi- działaś jego wspaniałe salony tylko?

— Nie wychodź zamaż za księcia, bła- gam cię, jasnie panienko — powtórzył, składając ręce jak do modlitwy.



Artysta-malarz, p. Antoni Tadeusz Wippel, w czasie pobytu w Chiagga — mieście ry- backim pod Wenecją.

— Milczeć i nie wtrącać się do mieswo- ich rzeczy!

— Jeśli mi pani nie wierzy, racz pani pójść za mną. Trzeba, żeby pani przeko- nała się naocznie.

Głos jego był taki dziwny, że zacieka- wiona poszła wśląd za nim przez ogród i krętą ścieżką ku skałom, u stóp której wznosiła się willa księcia.

Okrążywszy gęste zarośla, weszli przez ukryte drzwi do dużego hall'u, wyłożo- nego płytami. Ogniste smoki na witra- żach iście piekielnym blaskiem napełniały salę.

— Niech się pani ukryje tu za portjerą — szepnął marszałek dworu i... ani słowa. Powiedziawszy to, sam znikł i ukazał się niebawem we fraku przy hebanowym kre- densie z dwoma iokajami u boku. Po nie- jakiej chwili szkarłatna kotara z aksamitu rozsunała się, ukazując oszołomionej Maud stół, zastawiony kryształami i srebrem

w świetle elektrycznych kinkietów. Za stołem siedział plecami do niej księżę w u- roczystym stroju w otoczeniu sześciu wy- dekoltowanych kobiet. Grobowe milcze- nie towarzyszyło uczcie. Jakież było zdu- mienie Maud, kiedy zauważyła po pewnym czasie, że towarzyszki księcia były figu- rami z wosku!

Po skończonym obiedzie, księżę wstał od stołu i skłoniwszy się dworsko mane- kinom wyszedł automatycznym krokiem z sali. Wówczas wygalowany olbrzym powynosił woskowe damy kolejno. Ze sztywnych postaci zwieszały się ku ziemi drogie suknie, mieniące się złotym i srebr- nym brokatem.

— Co to jest? Co to znaczy? — szep-nęła Maud, kiedy marszałek dworu zbliżył się do niej ukradkiem

— Księżę kazał odlać z wosku figury swoich żon. Był już bowiem sześć razy żonaty i wszystkie jego żony zeszły z te- go świata w tajemniczy sposób. Każdy wyskok muru z zewnętrznej strony willi jest pokojem jednej z nieboszczek, umeb- lowanym jak za jej życia: łóżko, zdobne w jedwabne firanki i drogocenną koronkę, ściany zawieszzone pięknymi gobelinami, posadzka pokryta puszystym perskim dy- wanem. W każdym z sześciu pokoi znaj- duje się woskowa figura żony, której jest odbiciem. Każdy manekin ma swoją poko- łówkę, obowiązana sprzątać jego pokój i u- bierać go co wieczora w jedną z sukien nieboszczki, wiszących w szafie.

— Siedem jest takich narożnych pokoi w tej willi — zakończył marszałek, wypro- wadzając Maud bocznym wejściem z sali — siódmy, próżny jeszcze... czeka na mane- kin... Idź z Bogiem, jasna panienko i niech cię Matka Najświętsza ma w Swej opiece!

Staruszka zamilkła, zamyśliwszy się głęboko.

— Pocziwy marszałek łudził się — za- brała głos znowu wśród ogólnego milcze- nia — przypuszczając, że Maud zleknie się losu swoich poprzedniczek. Nie był wi- docznie znawcą serca kobiety. Biedna dziewczyna do tego stopnia kochała księ- cia B., że za cenę trzech miesięcy szczę- ścia z nim, gotową była zapomnieć o roli manekina z wosku, czekającej ją po nagłej i niespodziewanej śmierci.

— Wiadomo, że kobiety mają ptasi mózg — zauważył z przekonaniem jakiś wróg płci pięknej — każda z nich łudzi się zawsze nadzieją, że będzie wybranka losu.

— Ależ bohaterka pani opowieści — żyje — zwróciła się jedna z młodych słu- chaczek do staruszki przytomnie — skoro była tu przed chwilą! Czyżby księżę wy- leczył się ze swej morderczej manji?

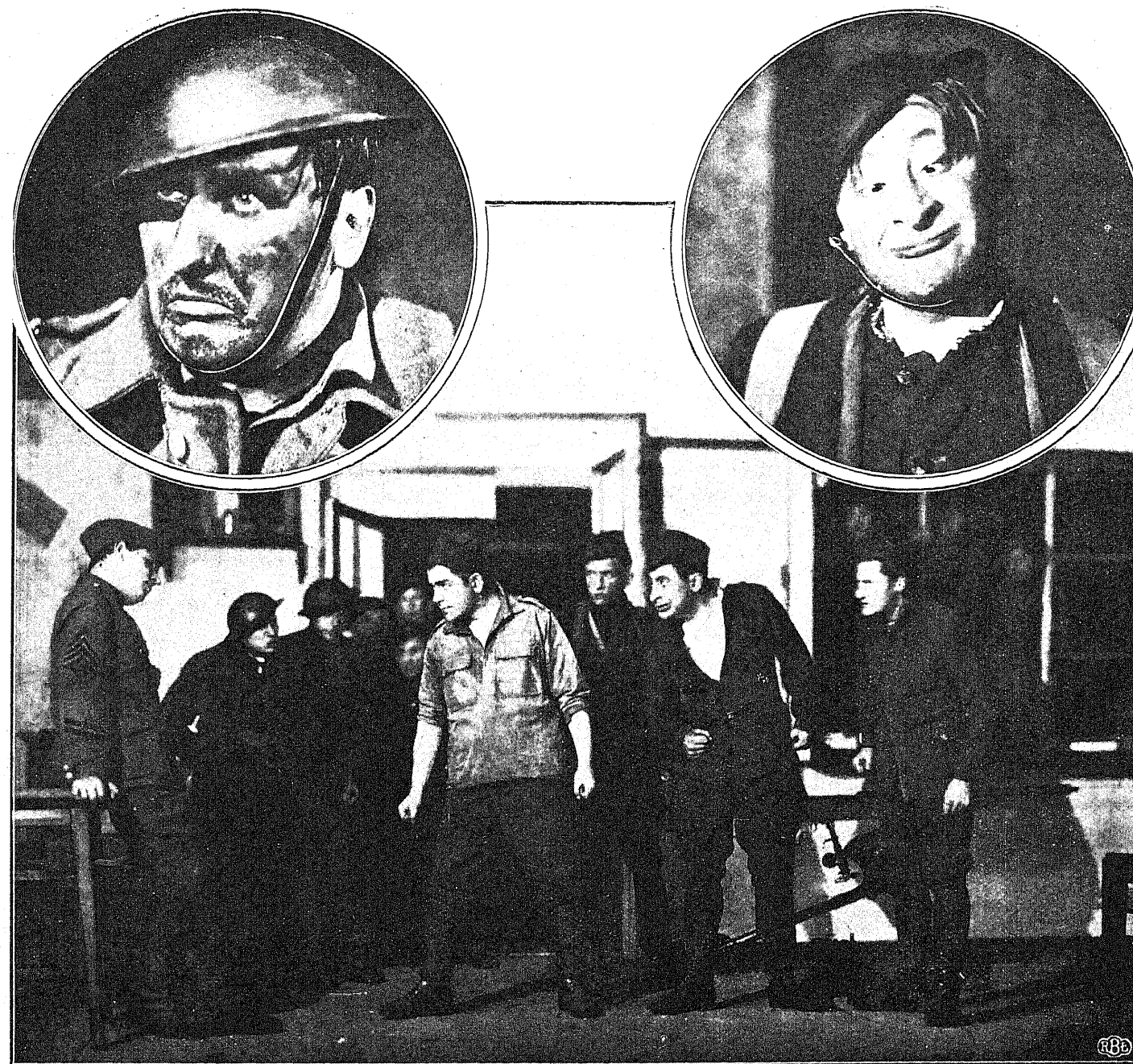
— Właściwie nie — odparła staruszka — dostał tylko, na szczęście, ataku ostre- go szału na ulicy w wilję swego ślubu i siedzi teraz pod kluczem w zakładzie dla furjatów ku nieopisanemu rozpaczowi Maud, niepokieszona po stracie narzeczonego.

— Dotychczas płacze po nim.

Tłum. Jotsaw.



„Rywale” w Teatrze Miejskim.



Teatr Miejski w Łodzi wystawił ostatnio rewelacyjną, osnutą na tle okrucieństw wielkiej rzezi narodów, jaką była wojna wszechświatowa, sztukę Andersona, Stallingsa i Zuckmayera p. n. „Rywale”, w kapitalnej reżyserji i inscenizacji Leona Schillera, wytrawnego reżysera sztuk współczesnych.

Na zdjęciach powyższych w owalu od strony lewej widzimy p. Kijowskiego w roli kapitana Flagga, od strony prawej p. Mrozińskiego w roli żołnierza, niżej zaś fragment I-go aktu.